

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

7)

— I cóż pan myślisz, panie Marcinie, czy poprzednie swoje teorie ten nowy kamienicznik wprowadził w wykonanie? Czy swemu stróżowi lepiej płacił, dał mu już nie piękne, ale zdrowe i wygodne mieszkanie, czy dbał o jego dobrobyt, jego przyszłość? Wcale nie! sam jadł pieczenie, sypiał na puchach, miał dziesięć pokoi, żona chodziła w jedwabkach i aksamitach, a jego stróż miał ciemną, wilgotną norę, dzieci nago i boso biegały, a nieraz chleba suchego brakowało.

— To lajdak!

— Nie, panie Marcinie, to człowiek, zwyczajny człowiek. Wszyscyśmy tacy i inaczej być nie może. Każdy z nas, jeżeli potrafi wyzyskać innego, to go wyzyska. Cała rzecz na tem polega, żeby się nie dać wyzyskać. Otóż jeżeli wy, klasy pracujące, w tej walce z kapitałem zwyciężycie, przewrócicie, że tak powiem, świat do góry nogami, to czy pan myśli, że inaczej będziecie postępować, niż ów stróż z Żelaznej ulicy? Wcale nie, chyba, że ustrój społeczny i naturę ludzką zdolacie tak do gruntu zmienić, iż nie będzie wyzyskujących ani wyzyskiwanych, nie będzie ani niewolników ani panów, a to zdaje mi się chyba nie tak prędko — i nawet wątpię, czy kiedykolwiek nastąpi.

— Pan tak gada, że ja nie wiem ostatecznie, czego pan chce.

— Czego ja chcę? Ja chcę, żeby klasa pracująca stanęła na tak silnych nogach ekonomicznie i oświatowo, żeby się wyzyskiwać kapitałowi nie dała i żeby wyzysk wogóle był niemożliwy.

— A tak właśnie... dobrze pan mówi... o to idzie...

— Cóż więc trzeba robić? czy walczyć z kapitałem pięścią, jak wy to dotąd robicie, czy też głową?

— Nic nie rozumiem. Jakże to pan chce głową walczyć? Głową, panie, muru nie przebiję...

— Przysłowie, które jest całkowicie fałszywe i błędne, bo właśnie nie czem innym, tylko głową mury się przebiją, najbardziej obwarowane twierdze zdobywa. Naturalnie, pod wyrażeniem głowa, rozumiem inteligencję, rozum, obmyślane dobrze działanie...

— Ciekawy jestem, jakie tu może być dobrze obmyślane działanie?

— Nie wiem, panie Marcinie, czyś widział kiedy dukaty polskie, bo to dzisiaj są rzadkie monety.

— Nie widziałem, ale cóż to ma do rzeczy?

— Zaraz się dowiesz. Na tych dukatach przedstawiony jest rycerz, trzymający pęk strzał w ręku z napisem łacińskim, że jedność, zjednoczenie stanowi siłę. Te pojedyncze strzały łatwo połamać i zgnać, ale całego ich pęku nikt chyba nie jest w stanie złamać. Otóż widzisz, do czego prowadzę. Pojedynczy robotnik w stosunku do kapitału go wyzyskującego jest istotą bezsilną, łatwo z nią zronić, co się temu kapitałowi podoba, ale całe setki, tysiące i dziesiątki tysięcy pracowników stanowią taką siłę, że nie oni przed kapitałem, ale kapitał przed nimi ugiąć się musi.

— To prawda, tylko, że się to nieda zrobić. Urządzimy strajk, to nie jest on powszechny i zresztą zawsze znajdują się łamistrajki. Albo to pan myśli, że u nas jest jaka jedność? To już leży we krwi naszego narodu. Ja czytałem, panie, historię polską, niezgoda, panie, nas zgubiła i gubi. Co pan chce? Czy to robotnik polski ma inną krew, czy co? On taki sam, jak i jego ojcowie.

— Nie przeczę, ale właśnie powinno nam iść o to, żeby on był trochę inny, niż ojcowie. Zresztą tu nie idzie o strajki. Czy wy wreszcie długo możecie wytrzymać bezrobocie? Tydzień, dwa, miesiąc... ale pół roku, ale rok nie wytrzymacie. Nędza wasza i waszych żon i dzieci zmusi was do ukorzenia się przed kapitałem, który, wypasiony waszym potem, gada: dobrze, schudną trochę, ale zobaczymy, kto dłużej wytrzyma. Taki jest stan rzeczy.

— Prawdę tu pan gada, ale cóż na to porazić?

— Trzeba się zrzeszać, a nadewszystko zakładać różne robotnicze stowarzyszenia ekonomiczne, któreby wam dały w razie czego możność istnienia poza sferą wpływów kapitalistycznych, któreby wam

zapewniły wygodny byt na starość, bez oglądania się na łaskawe ochłapy, rzucane wam przez kapitał w charakterze odczepnego. Jednym słowem, trzeba przedewszystkiem, żebyście radzili sami sobie, bo zawsze tak bywa, że jeżeli ktoś o nas radzi, to ma na celu tylko własny interes, a potem dopiero nasz i żebyście zostali taką siłą ekonomiczną, z którą ludzie i pracodawcy liczyćby się musieli. Powiedz mi, panie Marcinie, co by to było, gdybyście, dajmy na to, zastrajkowali w waszej fabryce a w waszym zrzeszeniu posiadali takie ogromne zasoby, że wszyscy, jak was jest trzy tysiące, a oczywiście z żonami i dziećmi conajmniej dwa razy tyle, moglibyście wytrzymać i żyć wygodnie przez rok, albo nawet dwa? co by wtedy było?

— Juścić chyba fabrykant musiałby ustąpić...

— Oczywiście, że musiałby ustąpić, bo choć kapitał jest siłą, ale ma tę wadę, że jeżeli nie rośnie, to się cofa, to topnieje, jak lód na słońcu... Raz zraniony kurczy się i chowa... on musi być w ruchu, bo inaczej schnie. Taka to jego właściwość.

Tak z sobą rozmawiali ci dwaj ludzie, a złociste łany zboża szumiały poważnie, szła od nich woń dojrzałości i przepiórki ćwierkały, skowronek zawisł gdzieś pod błękitem i piosenkę swoją śpiewał, jaśkółki uganiały się za robakami, wrzało dokoła bujne, szerokie życie natury. Wszędzie, gdzie tylko było rzucić okiem, toczył się bój uparty o prawo istnienia, bój bez litości i bez przebaczenia, i na tych złocistych łanach zboża, na tym czystym błękiecie nieba, można było czytać Baltazarowe słowa: kto nie walczy, ten zginie, życie to walka.

A pan Stanisław dalej rozwijał swą teorię zrzeszeń ekonomicznych wśród sfer robotniczych, przekonany, że te tylko mogą im zapewnić jakąś niezawisłość od kapitału. Oświadczył, że trzeba będzie zwołać zebranie robotników, a na tem zebraniu on wyłoży swój projekt, i może da się rzecz odrazu przeprowadzić praktycznie. Pan Marcin zgodził się na to:

— Zwołać zgromadzenie nie trudno — mówił — a ja się podejmę to zrobić, czy jednak będzie z tej maki chleba, nie wiem. Teraz, panie, to taksamo, jak dawniej, jedni do Sasa, drudzy do Lasa. Ale próbować nie zawadzi.

Ułożono się tedy, gdzie i kiedy się to zebranie ma odbyć, a pan Stanisław tak się do tej myśli zapalił, że zapomniał o swym pesymistycznym poglądzie na świat i o tej fatalistycznej teorii, że nic na świecie nie warto robić, bo śmierć wcześniej czy później przyjdzie i nagle położy koniec wszelkim usiłowaniom ludzkim.

Później dopiero, kiedy się rozszedł z panem Marcinem, którego zdrowa, dzielna natura polskiego robotnika nie myślała o śmierci, ale o życiu, gdy został sam, gdy ożywiający go dotąd entuzjazm opadł, począł się dziwić samemu sobie i szydzić z siebie, że dał się porwać zapałowi, marzyć o jakiejś działalności i po co? na co?

— Zgłupiałem widocznie — mówił sobie — czy to warto co robić? Czy choćby najbardziej wytężona moja praca powstrzyma fatalny bieg rzeczy, czy słońce nie będzie wschodziło i gasło codzień tak samo, jak wschodziło i gasło od setek tysięcy lat? czy wszelka istota żyjąca nie będzie zawsze i wszędzie łupem silniejszej? czy śmierć nie przyjdzie do mnie i nie unicestwi mego ja na zawsze, na nieskończone wieki. Moja samowiedza, inteligencja, moja dusza na koniec przepadnie, rozplynie się, utonie w wiekuistym wszechbycie materii. Po co więc ja się mam męczyć, zabiegać, wytężyć, martwić i kłopotać, kiedy może jutro umrę! — Głupstwo jest wszystko i marność!

X.

Była to wielka, pusta sala w napół zrujnowanym budynku po browarze, w której w kilka dni po rozmowie Marcina ze Stanisławem Kozłowskim zebrano się na naradę, na wiec robotniczy, jak mówiono. Miało się już pod wieczór i w tej sali o wybitych szybach w oknach, przez które wiatr się dostawał i świszczał przeciągle, porywając i unosząc z szelestem różne śmiecie, szczątki papierów i nie zdecydowanej barwy łachmanów, panował posępny półmrok, którego rozjaśnić nie mogło kilka świeczek łożowych, ustawionych na deskach, tworzących rodzaj katedry czy mównicy. Parę lampek naftowych, kopających niemiłosiernie, zawieszonych u ścian, zgęszczało raczej ciemności, a ich płomień, nie zabezpieczony od wiatru, co chwila wydobywał się ponad szkło i rzucał krwawe, migotliwe światło na zgromadzonych tutaj robotników i nierobotników.

I w tem półoświetleń, w tym półmroku dziwnie fantastycznie wyglądały te twarze ludzkie,

energiczne, silne, żądne wiadomości, te postaci, jak z brązu wykute, barczyste, o żyłastych rękach, karkach potężnych, głowach, jakby siekierą wyrąbanych w kamieniu. Tu i ówdzie dawały się słyszeć rozmowy, ciche szepty, czasem jakaś ręka podniosła się w górę, w kułak ściśniętą, głos energiczniejszy zaklął siarczyście i znowu zaległa cisza oczekiwania, tylko wiatr świszczał przez wybite okna, szeleściły papiery, lampki kopciły i płomienie świeczek migotały nieustannie, rzucając drżące blaski i cienie na twarze ludzkie.

Nakoniec pan Marcin Jabłoński wszedł na estradę zbitą z desek, które pod jego potężną postacią zahuczały głośno i głosem silnym, acz trochę drżącym, zawołał:

— Panowie i Panie!...

Nagle z tłumu odezwał się głos ochrypły:

— Tu niema panów i pań, tylko towarzysze i towarzyszki!

Pan Marcin uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Niechże i tak będzie. Nie idzie tu o tytuły, i jeżeli tak się odezwałem, to dla tego, że taki jest zwyczaj w Polsce.

— Głupi burżujski zwyczaj! — odezwał się ten sam głos ochrypły.

— My nie mamy nic wspólnego ze zwyczajami polskimi — zawołał inny głos młody z wyraźnym cadzoziemskim akcentem — nas Polska nic nie obchodzi, myśmy nie Polacy, ale ludzie!

Nagle na estradę na te słowa jakby z procy wyrzucony, skoczył z pośrodku tłumu Stanisław Kozłowski. Twarz mu pałała rumieńcem, zaiskrzone oczy rzucały pioruny, a ręce w kułak ściśnięte zdawały się chcieć oprzeć tym wszystkim, którzy tu, w tłumie zebranych, gotowi byli deptać jego ideały najświętsze, jedyną rzecz, dla której uważał, że żyć warto. Od świeczek, chwiejących się nieustannie wskutek przeciągu powietrza, padały mu na twarz drgające, niepewne blaski i czyniły jego postać na pół zanurzoną w cieniu, podobną do jakiegoś widma fantastycznego.

Podnosząc rękę w górę z gestem szerokim, zawołał donośnym głosem:

— Bracia, czy wszyscy, jak tu jesteście, zgadzacie się na tę opinię, przed chwilą wygłoszoną, nie wiem przez kogo, że Polska nic was nie obchodzi, żeście nie Polacy, ale ludzie. Czy zgadzacie się na to zdanie?

Cała ta wielka izba, jakby poruszona piorunowym impetem jednomyślności, zagrziała okrzykiem:

— Nie! nie! nie zgadzamy się. Polacy jesteśmy i Polakami zostać chcemy. Kto inaczej myśli, to albo głupiec albo zdrajca.

Tu i ówdzie poczęto wołać:

— Kto to powiedział? wyrzucić go! za drzwi z nim!

W tłumie wrzało, szło wichrowe tchnienie masy, podnosiły się potężne, spracowane, grube ręce w kułak ściśnięte, drgało obrażone uczucie tej Polski nieśmiertelnej, dla której tysiące szły konać na wszystkich pobojuwiskach świata, gnić w tajgach sybirskich, umierać heroicznie na szafotach. W tych sercach i głowach, zajętych troską codzienną o chleb, o możność życia, odezwała się ukryta gdzieś w głębi duszy, zarzucona rumowiskiem szarych dni bytu, zmiażdżona idea polska.

Stanisławowi, gdy to usłyszał, rozjaśniło się oko i wielka duma i wielka radość spłynęły mu na serce:

— Tak — rzekł — jesteśmy i chcemy zostać Polakami, a kto inaczej myśli jest głupcem lub zdrajcą, więcej głupcem, niż zdrajcą, bo nie rozumie tego, że każdy naród ma prawo do życia, że trudno sobie wyobrazić, dlaczego ja, jako Polak, mam się rzec swej narodowości, kiedy jej się nie rzeka ani Niemiec, ani Francuz. Ludzkość to frazes; najłatwiej powoływać się na miłość dla ludzkości, bo to do niczego nie zobowiązuje. Człowiekiem należy i trzeba być, ale to nie wyklucza wcale, bym był Polakiem.

— Ale kto powiedział, że nie chce być Polakiem? — zapytał jakiś głos z tłumu — niech się ten dureń pokaże!

— Ja nie wiem, kto to powiedział — odezwał się Stanisław — ale też o to wcale nie idzie...

— A ja wiem, kto powiedział — zawołał z głębi ciemności jakiś inny głos — to Litwak z T... Michał Szułowicz Mojsiejew... i oczywiście, co takiego kpa Polska może obchodzić?...

— Nie wymyślać! pyski stulić! — syknęły jakieś inne głosy.

— Co to? rozbój? — wołało kilka głosów z żydowskim akcentem.

— Brauningi będą w robocie! — krzyczano.

Zanosilo się na burzę. Drżała ona w powietrzu